

KRONIKI VALENY

Melinda

Dawid Traczykowski

Kroniki Valeny: Melinda

Copyright © 2026, Dawid Traczykowski

Autor niniejszego dzieła nie zezwala na wykorzystanie jego całości ani części w żadnych programach rozpoznających wzorce graficzne, tekstowe itp. (tzw. Sztuczna Inteligencja). Nie udziela również zgody na jego sprzedawanie, powielanie oraz drukowanie.

Projekt okładki
Dawid Traczykowski

W książce użyto czcionek na licencji freeware
BlackChancery by Doug Miles
<https://www.1001fonts.com/blackchancery-font.html>
Royalty Criminals by Vladimir Nikolic
<https://www.1001fonts.com/royalty-criminals-font.html>
Morris Roman by William Morris (digitized by Dieter Steffmann)
<https://www.1001fonts.com/morris-roman-font.html>

Pomoc wszelaka
Kamil Traczykowski

ISBN 978-83-977901-2-4

I

Aron nie lubił tego dnia w miesiącu. Powłóczył nogami po zabłoconych ulicach Tamiru, dzierżąc w ukrytej w kieszeni kurtki dłoni mieszek ze srebrnymi monetami, starając się jeszcze choć przez krótką chwilę poczuć jego właścicielem. Zimny wschodni wiatr i stalowoszare chmury leniwie sunące po niebie pogłębiały jego podły nastrój.

Wkrótce błoto ustąpiło miejsca wyślizganym, mokrym kamieniom alei Antera Agitara. Na targ na placu Oktawiana licznie zmierzali mieszkańcy kadryjskiej stolicy: skrywający twarze pod kapturami wełnianych peleryn klienci rozmaitej zamożności, spóźnieni, zataczający się pod ciężarem towarów (a może wrażeń ubiegłej nocy?) kupcy, rozglądający się na boki w poszukiwaniu ofiar kieszonkowcy czy bogato ubrani, krocący pawim chodem, pracownicy sukiennic. Aron dołączył do pochodu, zaciskając jedną dłoń na mieszku, a drugą trzymając w gotowości do odparcia zakusów konkurencji. Na szczęście okoliczni złodzieje wybierali łatwiejsze cele, jego czujne spojrzenie i pewny krok wystarczały, by ich odpędzić.

Przybywszy na zatłoczony, gwarny bazar, przecisnął się w stronę wybudowanej na północnym krańcu placu kamiennej fontanny w kształcie sarny i usiadł na ławce obok wytwornie ubranego czterdziestokilkulatka. Starając się zachowywać spokój, bacznie obserwował uzbrojonych w halabardy strażników miejskich, przechadzających się w pobliżu wodotrysku. Ich ciemnozielone tuniki i mokre białe płaszcze prezentowały się tego pochmurnego dnia nadzwyczaj ponuro.

— Przyszedłeś tu pogapić się na targ czy w interesach? — spytał sąsiad z ławki.

— Przecież straż...

— To moja obstawa. — Odparł lekceważąco mężczyzna, wyciągając otwartą dłoń w pospieszającym geście.

„Robi się coraz bardziej bezczelny — pomyślał Aron, wyciągając haracz z kieszeni. — Najpierw spotkania w zatłoczonych miejscach, a teraz ochrona straży miejskiej. Jego szef musi się czuć nadzwyczaj pewnie, jeśli mu na to pozwala”.

Srebrne monety zabrzęczały w dłoni Jego wysłannika. Jak na komendę, gwardziści obrócili się w stronę dokonujących zakupów mieszczan. Mężczyzna długo oglądał pieniądze, szczególnie uważnie przyglądając się ich krawędziom.

— Te dwie są chyba ślizgane — stwierdził w końcu.

Aron słyszał o ślizganiu monet. Podobno przesuwając wielokrotnie, i z odpowiednią siłą, krawędzią pieniądza po specjalnie przygotowanym suknie, można było po kilku miesiącach odzyskać z tkaniny nieco kruszcu. Tylko że to wymagało naprawdę wielu monet, by zanadto żadnej nie odchudzić. Nikt w jego bandzie nie dysponował takimi ilościami pieniędzy. Cwaniak chciał w bezczelny sposób naciągnąć ich na dodatkową opłatę. Należało mu wyjaśnić, uprzejmie, lecz zdecydowanie, żeby nie próbował z nim podobnych sztuczek.

— Ślizgane? Srebrne monety? — udał zdziwienie. — Komu by się to opłacało? Tylko złoto...

— Srebro też — przerwał mu Jego przedstawiciel.

— I naprawdę myślisz, że przez nasze ręce przechodzi aż tyle pieniędzy...?

— Wiem, ile przechodzi przez wasze ręce — rzucił mężczyzna poirytowanym tonem. Strażnik obrócił na niego pytające spojrzenie. Odpowiedziało mu delikatne potrząśnięcie głową. Wartownik wrócił do obserwowania tłumu. Wysłannik spojrzał w zachmurzone niebo i po krótkiej chwili kontynuował spokojnie: — Dlatego każę wam płacić tyle, ile płaciecie. Ale to ostatni raz, kiedy przyjmuję ślizgane monety.

Aron ciężko westchnął.

— Jeśli to jakiś proceder prowadzony na szeroką skalę, a skoro ma się opłacać przy srebrnych monetach, to taki z pew-

nością jest, wkrótce możemy tu mieć same ślizgane pieniądze. Skąd ci wtedy wezmę normalne? I czy twoi znajomi ze straży miejskiej nie mogą czegoś z tym zrobić? To przecież ryzyko dla całej waluty. W czasach imperium bito przecież monety z coraz mniejszą zawartością złota i srebra i wszyscy wiemy, jak się to skończyło.

Mężczyzna uśmiechnął się wesoło.

— Proszę, proszę. Niby zwykły złodziejaszek, a jaka wiedza. Idź może do Meridiusa, na pewno znajdzie dla ciebie jakieś stanowisko na dworze.

„Już nie tylko złodziejaszek” — stwierdził z satysfakcją Aron.

— Polityką monetarną kraju niech zajmuje się ktoś inny. Ty masz mi dostarczać nieślizganych monet i pilnować swojej hałastry... co ostatnio chyba średnio ci wychodzi.

— Nie rozumiem — zdziwił się chłopak. — Przecież nie działamy poza swoim terenem. — Czyżby ktoś z jego bandy zaczął pracować na własną rękę, narażając kompanów na poważne problemy?

— Jeden chłopaczek od ciebie od dwóch dni gra w króla na placu Camillusa — odparł Jego przedstawiciel, świdrując Arona wzrokiem.

— Tak? — Przywódca bandy nic o tym nie wiedział. Mężczyzna chyba wyczytał w jego oczach szczerość, bo rozsiadł się na ławce i spokojnie ciągnął: — To brat twojego dobrego kolegi, Larnaka.

„Hanik? Przecież on tylko pomaga w pracach domowych i przygotowywaniu posiłków. Nie wychodzi zarabiać pieniędzy. Chyba muszę porozmawiać z Larnakiem”.

— Całkiem nieźle mu idzie — kontynuował Jego przedstawiciel — ale nie udzieliliśmy wam licencji na działanie na tym terenie. Poza tym konkurencja już go namierzyła. Jeśli nie zniknie do jutra...

— Załatwię to.

— Wiem. A w ramach rekompensaty w przyszłym miesiącu

przyniesiesz mi jeszcze jedną taką monetę. — Mężczyzna wyciągnął z kieszeni dziesięciokoronówkę.

Aron nie polemizował. Była to niewielka kara na podobne wykroczenie. Kilka lat temu jeden z jego podopiecznych został ciężko pobity po ledwie kilku godzinach działalności na cudzym terenie. Hanik dostał trzy dni. Może dlatego, że miał tylko siedem lat, a może ktoś dostrzegł jego unikalny talent? Jeśli potrafił to co Larnak...

— Coś jeszcze? — Aron zaczął się podnosić z ławki.

— Tak — odparł zimno mężczyzna — jest jeszcze jedna sprawa.

Chłopak usiadł. Nie chciał dłużej przebywać w towarzystwie Jego wysłannika, wodził więc wzrokiem po tłumie, czekając, aż ten wyłoży swoją sprawę. W pewnej chwili dostrzegł w ciżbie niewysoką blondynkę o długich włosach, rozglądającą się na boki. Dziewczyna czegoś szukała, wydawała się zagubiona. Lada chwila niesiony przez nią na kiju niewielki tobołek mógł stać się celem okolicznych złodziei. Zapragnął jej pomóc. Bynajmniej nie z pobudek altruistycznych — liczył na okazaną na osobności wdzięczność. Miał dwadzieścia jeden lat i pomimo pełnienia odpowiedzialnej roli w bandzie, nie zapominał o swoich potrzebach.

— Słyszałeś o kupcu Vladirze? — dobiegło go jak z oddali. — Hej, mówię do ciebie. — Mężczyzna trzepnął go w głowę jak jakiegoś smarkacza.

Aron odruchowo napiął mięśnie, szykując się do oddania ciosu. Złowrogie spojrzenia strażników miejskich sprawiły, że w porę się opamiętał.

— Słyszałem — odparł, kątem oka obserwując dziewczynę. — Umarł chyba w zeszłym miesiącu.

— Dwa miesiące temu — sprostował sąsiad. — Bezdziennie. Jego majątek przejęła Korona.

— I co z tego? — Aron teraz już nawet nie patrzył na rozmówcę. Całą uwagę skupił na blondynce.

— Vladir zgromadził pokaźną kolekcję artefaktów z czasów imperium: zbroje oraz broń sławnych konsulów, ich przedmioty

osobiste i tym podobne. Według oszczędnych szacunków jego zbiory mogą być warte nawet pół miliona koron.

Wobec przedłużającej się ciszy, Aron obrócił spojrzenie na wysłannika. Ten przyglądał mu się świdrującym wzrokiem.

— I? — Nie miał ochoty kontynuować konwersacji. W pobliżu blondynki zaczęło się kręcić dwóch złodziejasków. Zaraz ustalą, któremu należy się łatwy łup i zaczną działać.

— Spieszno ci dokąds? — spytał mężczyzna, wpatrując się w niego.

Chłopakowi cisnęła się na usta kąśliwa uwaga o tym, że on musi pracować na swoje utrzymanie, a nie cały dzień siedzieć na ławce i przyjmować pieniądze od innych, ale podobne słowa tylko przedłużyłyby rozmowę (nie wspominając o ryzyku podniesienia haraczu lub pobicia przez straż miejską), więc ugryzł się w język.

— Muszę zarabiać pieniądze — odparł tylko.

— A nie próbujesz czasem rozszerzyć działalności?

— Nie rozumiem.

— Ktoś sprzedał ostatnio niejakiej Warii, wdowie po Samusie, tym od nieruchomości, grzebień z kości słoniowej Cezara.

— To na pewno fałszywka. Cezar nie miał aż tyle włosów, by używać grzebienia — zażartował Aron.

Wysłannik zachował kamienną twarz.

— Jemu nie spodoba się kręcenie swoich interesów bez powiadamiania go o tym... i odprowadzania należnego mu procentu.

— Dlaczego mnie o tym mówisz? Nie znam się na tego typu przedmiotach. A do osób pokroju Warii czy Vladira nigdy nie dopuściliby mnie ich ochroniarze.

— Mówię o tym wszystkim.

Aron zerknął w stronę zagubionej dziewczyny. Kieszonkowcy chyba już ustalili hierarchię, bo jeden gdzieś zniknął, a drugi zbliżył się do ofiary.

— Jeśli jest jakaś nagroda za odnalezienie tych gratów, to mogę popytać na mieście. — Zaczął się podnosić. — Jeszcze coś?

Mężczyzna zmierzył go badawczym spojrzeniem, ale po chwili pokręcił głową i skierował wzrok na czekającego na swoją kolej następnego „klienta”.

Aron pospieszył ku będącej w opałach, choć niczego nieświadomej, dziewczynie. Ta niestety zdążyła zniknąć w tłumie. Odnalazł ją jednak w samą porę. Mimo iż oddalała się od niego, złodziej, który właśnie rozciął jej tobolek i wyciągnął z niego malutki mieszek, zmierzał w jego kierunku. Aron podstawił mu nogę, a gdy ten się potknął, prawą ręką pomógł mu utrzymać równowagę, lewą zaś sięgnął do jego kieszeni.

— Wszystko w porządku? — spytał troskliwie, chowając zdobycz do kurtki.

Złodziejaszek prychnął i obrzuciwszy go lekceważącym spojrzeniem, oddalił się bez słowa.

— Przepraszam panienkę. — Aron dogonił i zaczepił dziewczynę. — Mam coś, co może panienkę zainteresować.

— Nie stać mnie, proszę dać mi spokój. — Nawet nie zaszczyliła go spojrzeniem.

— Nie chcę za to ani korony. Tylko lepiej oddalmy się trochę od tego tłumu.

Zatrzymała się i przyjrzała mu podejrzliwie.

— Sami złodzieje i zboczeńcy w tym Tamirze. Nie interesuje mnie, co tam chowasz w spodniach. — Odwróciła się i ze zdwojonym wysiłkiem poczęła przeciskać przez tłum.

Oszłomiony Aron stał chwilę w miejscu. Po pierwsze, nigdy jeszcze nie usłyszał pod swoim adresem podobnej uwagi. Po drugie, blondynka z bliska prezentowała się oszałamiająco. Piękna, foremna twarz, równe, białe zęby, lekko zadarty nos i niebieskie oczy o morskiej głębi. Zaraz jednak się opamiętał i ponownie dogonił dziewczynę.

— Co do zboczeńców, to nic na ten temat nie wiem, ale złodziei rzeczywiście tutaj pełno. — Wskazał dziurę w jej toboleku.

— O nie. — Blondynka postawiła zawiniątko na kamiennym podłożu i zaczęła je przetrząsać. Mijający ją przechodnie

rzucali jej poirytowane spojrzenia. *Tu się chodzi, nie ogląda swoje zakupy* — powiedział nawet ktoś. — Zabrali mi... To ty — wskazała palcem na Arona — to ty, przyznaj się.

— Ja? — Przesadna zaciętość wymalowana na jej obliczu rozbawiła go. Miała jedną z tych twarzy, które zawsze zdawały się uśmiechać, nawet dając się czy oskarżając kogoś o kradzież. — Co ja?

— Ukradłeś mi pieniądze. — Wypowiedziany głośno zarzut nie wzbudził niczyjego zainteresowania. — Ukradłeś, a teraz próbujesz wyłudzić znaleźne.

Uśmiechnęła się szeroko. Jej oskarżenie było tak niedorzeczne, że aż zabawne.

— Po co miałbym wyłudzać znaleźne, mając wszystkie twoje pieniądze w kieszeni?

Dziewczyna zarzuciła tobolek na plecy. Zmarszczyła brwi, co tylko dodało jej uroku.

— Nie wiem. Może liczysz na jakąś inną rekompensatę.

— Spieszę zatem donieść, że nie liczę.

— Czyli jednak masz moje pieniądze — stwierdziła z satysfakcją.

— Owszem, ale tylko dlatego, że odzyskałem je z rąk złodzieja.

— Tak, na pewno. Oddaj je. — Wyciągnęła przed siebie prawą dłoń. — Oddaj, bo zawołam straż miejską.

— Wtedy naprawdę musiałabyś zapłacić znaleźne. I na pieniądzech mogłoby się nie skończyć.

Blondynka zrezygnowanym gestem opuściła dłoń.

— Złodzieje i zboczeńcy. — Pokręciła głową. — Czego chcesz? Mam ci pokazać moje jabłuszka?

„*Jabłuszka? Prędeż arbuzy*”.

— Po pierwsze, nie trzymaj tego toboleka na plecach, bo znów cię ktoś okradnie. — Dziewczyna od razu chwyciła bagaż w obie ręce. — Po drugie, naprawdę nie ukradłem ci tych pieniędzy. Twój tobolek został przecięty, a ja nie mam sztyletu ani niczego podobnego. Możesz mnie przeszukać. — Szeroko

rozpostarł ręce, omal nie uderzając w twarz pulchnej kobiety, niosącej kurę pod pachą.

— Uważaj, gdzie wymachujesz tymi gałęziami!

— Po trzecie wreszcie — ciągnął, ignorując uwagę kobiety — nie jestem żadnym zboczeńcem. Po prostu zauważyłem cię wcześniej i pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy. — Wyciągnął z kurtki chudy mieszek dziewczyny. Właścicielka przyjęła go i schowała do zawiniątka.

— W takim razie przepraszam — rzekła szczerze. — Nie-sprawiedliwie cię osądziłam. On wcale nie ukradł mi pieniędzy — wyjaśniła głośno, ponownie nie wzbudzając niczyjego zainteresowania.

— To Tamir. Nikt tu nie przejmuje się podobnymi sprawami. Pokiwała głową.

— Aż tak widać, że nie jestem stąd?

— Widać i słysząc.

— Mówię jakoś inaczej? — zdziwiła się.

— Nikt tu nie nazywa tych części ciała *jabłuszkami* — uśmiechnął się.

Opuściła wzrok, ale na jej ustach zamajaczył cień uśmiechu. W tej samej chwili wiosenne słońce przebiło się przez chmury, nadając jej obliczu niemal religijnej jasności. Aronowi przyszedł na myśl widziany kiedyś w domu jednego kupca obraz jakiejś starożytnej bogini. Chwycił ją pod rękę i poprowadził ku podcieniom sukiennic, gdzie napór tłumu nie był tak dokuczliwy i mogli w miarę swobodnie porozmawiać.

— Szukasz czegoś lub kogoś? — spytał, obserwując ciżbę w poszukiwaniu okradzionego kieszonkowca. Ten chyba jednak nie zamierzał wracać po utraconą zdobycz. Być może namierzył już inny cel.

Dziewczyna chwilę grzebała w bagażu, by zasłonić dziurę jakimś ubraniem. Gdy upewniła się, że nic przez nią nie wylatuje, spojrzała na Arona z wyraźnym wahaniem.

— Całe życie tu mieszkam, może będę mógł ci pomóc — przekonywał.

— Szukam niejakej baronowej Jowinii. Podobno ma tu przy placu jakiś sklep.

— Baronowej? Myślałem, że wszystkie tego typu tytuły zostały oficjalnie unieważnione za rządów Antera.

— Tak nam się przedstawiła w Veles. — Blondynka mocno ścisnęła dłońmi tobołek i przywiązany do niego kij.

— Może na prowincji ma czelność używać tego tytułu, ale tutaj nigdy by się na to nie odważyła.

— Więc ją znasz? — W oczach dziewczyny zajaśniała nadzieja.

— Nie osobiście. Ale wiem, o kogo chodzi. Co prawda sprzedała chyba ten sklep w pobliżu, ale na mieście ma ich wiele. — Dziewczyna zarzuciła bagaż na plecy, gotowa do drogi. — Tylko w żadnym nie bywa. Mieszka w wielkiej rezydencji w dzielnicy bogaczy, ale tam nawet nas nie dopuszczą. Chyba że masz zaproszenie. — Spojrzał na jej znoszoną, choć czystą suknię. Nie wyglądała na kogoś, kto obraca się w tych samych kręgach co Jowinia.

— Nie mam żadnego zaproszenia. — Dziewczyna opuściła wzrok i ponownie chwyciła tobołek w dwie ręce.

— Po co właściwie chcesz się z nią spotkać? Szukasz pracy?

— Nie, nie szukam pracy — ciężko westchnęła.

— Przyjechałaś z Veles? — spytał po chwili, wyczuwając, że ma jakiś poważny problem, ale nie chce mu o nim powiedzieć.

Dziewczyna milczała.

— Nazywam się Aron — wyciągnął do niej rękę — a ty?

— Melinda. — Uścisnęła ją po krótkiej chwili. Trzymał jej dłoń chyba trochę za długo, bo uśmiechnęła się niezręcznie i cofnęła ją aż za plecy. Zaraz jednak z powrotem położyła ją na tobołku. — I tak, przyjechałam... a raczej przyszłam z tej prowincji, jaką według ciebie jest Veles.

— Nie chciałem cię urazić. Tym stwierdzeniem chodziło mi raczej o podkreślenie różnicy obyczajów między miastami. Tutaj za tytułowanie się baronową groziłoby Jowinii nawet odebranie

całego majątku. A samo Veles to podobno piękne miasto, tak słyszałem.

— To zależy, gdzie się mieszka. A Jowinia to oszustka i powinna ją spotkać zasłużona kara.

— Chyba zaczynam rozumieć sytuację. Chodźmy stąd, opowiedz mi o sobie i swoim problemie.

— Ale jak to *chodźmy stąd*? — Spojrzała na niego nieufnie.

— Nie miałem na myśli nic zdrożnego. Skoro nie jesteś stąd, będziesz potrzebowała miejsca na nocleg. Do siebie cię nie zapraszam, ale wskażę ci tanią gospodę, w której nie ma plu-skiew. Po drodze porozmawiamy. Brzmi dobrze?

Po krótkim zastanowieniu, skinęła głową.

Poprowadził ją jedną z brukowanych ulic (nie chciał, by jej czysta suknia się zabłociła) na południe. Dziewczyna cały czas trzymała bagaż przed sobą. By nie nadwierać jej kruchego zaufania, nie proponował niesienia go.

— Więc przyszedł tutaj z Veles — stwierdził, gdy oddalili się nieco od targowego gwaru. — Ale chyba nie w tych butach?

Spojrzała na swoje stopy i z zakłopotaniem wyjaśniła:

— Nie, tamte buty po dwóch miesiącach marszu do niczego się nie nadawały. Wyrzuciłam je przed rogatkami. Zmieniłam też odzienie na bardziej... miejskie.

— Szłaś tu dwa miesiące!?

— To ponad tysiąc kilometrów, a ja nie byłam przyzwyczajona do forsownego marszu. Kilka razy udało mi się zabrać na czyjś wóz, ale tylko wtedy, gdy jechały na nim inne kobiety. Na drogach czai się tylu złodziei i...

— Podkradaczy jabłek? — zasugerował.

Odpowiedziała mu uśmiechem, od którego zrobiło mu się ciepłej.

— Tak, można ich tak nazwać. Musiałam uważać. Nie szłam też codziennie, musiałam odpoczywać.

— Ale w końcu osiągnęłaś cel. Musisz być bardzo zdeterminowana.

Spojrzała na niego z tą swoją uroczą zadziornością.

— Jestem. I nie spocznę, póki... — urwała w pół zdania.

— Póki...? — Nie odpowiadała. — Naprawdę mogę ci pomóc. Znam to miasto lepiej niż sam Meridius.

— To akurat o niczym nie świadczy, bo wątpię, czy król opuszcza kiedyś swój pałac.

— Może rzeczywiście nie było to najlepsze porównanie. W takim razie znam je lepiej niż najstarsi kupcy i strażnicy miejscy. A na pewno lepiej niż ty.

Melinda wahała się chwilę, rozglądając się po drewnianych budynkach i podążających za swoimi sprawami Tamirczykach.

— Daleko do tej gospody?

— Jesteśmy w połowie drogi. Ale zaraz będziemy musieli skrócić w niebrukowaną ulicę. Pobrudzisz sobie suknię. Może przytrzymaj ją nad ziemią, a ja poniosę twój bagaż.

O dziwo, zgodziła się od razu. Wkrótce ich buty zagłębiały się w szybko schnące błoto.

— Całe życie mieszkaliśmy z tatą w Veles — rozpoczęła swoją opowieść. — Raz powodziło nam się lepiej, raz gorzej. Z czasem jednak dorobiliśmy się małego sklepiku, który zaczął przynosić coraz większe zyski. I wtedy pojawiła się konkurencja. Nie wdając się w szczegóły, dwa pożary później zostaliśmy z niczym. No, prawie z niczym. Mieliśmy jeszcze stary, przekazywany z pokolenia na pokolenie srebrny pierścień z szafirem, który tradycyjnie miałam dostać w dniu ślubu. Postanowiliśmy go sprzedać i otworzyć gdzieś, niekoniecznie w Veles, mniejszy interes. Taki, który pozwoliłby się nam utrzymać, ale nie przyciągnął uwagi tych nieczysto grających „przedsiębiorców”. Tata znalazł kupca, odpoczywającą wtedy na wybrzeżu Jowinię. Baronowa pokazała mu swoją kolekcję biżuterii, przynajmniej tę część, którą zabrała w podróż. Wydawała się osobą bogatą i godną zaufania. Tłumaczyła, że będzie potrzebowała kilku dni na załatwienie złota, więc tata, by ona się nie rozmyśliła, a on nie zaniechał sprzedaży z powodu rozterek — pozbywał się przecież pamiątki rodzinnej — powierzył jej pierścień do przechowania. Wydała mu oczywiście pokwitowanie. Tylko że kiedy

tata przybył do wynajmowanej przez nią rezydencji po odbiór pieniędzy, jej już nie było w mieście. Zwrócił się ze skargą do straży miejskiej, ale ci najpierw ociągali się z jakąkolwiek reakcją, tłumacząc, że muszą się skontaktować ze służbami w Tamirze, a potem zgubili, lub celowo zniszczyli, pokwitowanie. Tata... — głos jej się załamał. — Jego serce... — Pociągnęła nosem. Po dłuższej chwili zakończyła: — W każdym razie postanowiłam odzyskać pierścień i pociągnąć baronową do odpowiedzialności.

Aron ważył jej słowa z głębokim namysłem.

— Jesteś pewna, że to była prawdziwa baronowa... to znaczy prawdziwa Jowinia? Oszustka...

— Kilka osób potwierdziło jej tożsamość. W tym znajomy złotnik, który sprzedał jej w Veles kilka błyskotek. To na pewno ona.

Chłopak pogładził policzki.

— Nie wierzysz mi — bardziej stwierdziła niż spytała. — Wiesz, że to bogata kobieta, którą z pewnością stać by było na jakiś tam srebrny pierścień i sądzisz, że nie musiałaby nas oszukiwać, by go dostać

— Nie — odparł spokojnie. — Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

— Zasugerowali to strażnicy miejscy w Veles.

— Może oni tak myśleli. A może im zapłaciła. Ja ci wierzę. Wiem, że kupcy często mają problemy z pieniędzmi. Posiadają sklepy, domy, ziemię, ale nie zawsze dysponują złotem. Pierścień mógł jej się spodobać na tyle, że bardzo zapragnęła go posiadać, ale akurat nie miała czym zapłacić, więc posunęła się do oszustwa.

— Musiało tak być — stwierdziła z determinacją Melinda. — To był piękny kawałek biżuterii. Kunsztownie grawerowany, a sam szafir był ogromny!

Aron pokiwał głową, podrapał się po brodzie, po czym optymistycznym tonem stwierdził:

— Pomogę ci go odzyskać.

— Naprawdę? — Blondynka aż podskoczyła z radości. — Ale jak? I dlaczego?

— Dlatego, że sprawiedliwości musi stać się zadość — orzekł nieco zbyt teatralnie. — A poza tym nie lubię tych bogatych bubków — dodał szczerze. — Z chęcią utrę nosa jednemu w nich. Co do twojego drugiego pytania, to jeszcze nie wiem jak. Ale ja dużo wiem i znam ludzi, którzy wiedzą jeszcze więcej. — Właśnie dotarli do gospody *Pod cichym dębem*. Aron wskazał na ledwo trzymające się na zawiasach solidne dębowe drzwi i przekrzywiony szyld nad wejściem. — I podczas gdy ty będziesz miło spędzać czas w tym może nie luksusowym, ale na pewno czystym i tanim przybytku, ja zorientuję się, co można zrobić w twojej sprawie.

— Och, dziękuję. — Stała na palcach i pocałowała go w policzek. Miała gładką, miłą w dotyku skórę. Wzięła od niego tobołek i postąpiła kilka kroków ku wejściu. — Będę czekać. — Uśmiechnęła się promiennie. Słońce znów zdawało się świecić letnim blaskiem.

— Tylko nie daj im się oszukać — dodał uradowany. — Nie powinni wziąć więcej niż dwie korony za trzy dni.

Banda Arona — trzydziestka nastoletnich drobnych złodziei i żebraków — zajmowała strych z przeciekającym dachem w jednej z biedniejszych dzielnic kadryjskiej stolicy. Właściciel budynku zgodził się wynająć im rzadko używane przez mieszkańców miejsce za okazijną stawkę. W ten sposób zapewnił lokatorom spokój — podopieczni Arona mieli surowy zakaz ich okradania — i nie musiał sam dokonywać drobnych napraw dachu. W zamian straż miejska nie nękała koczującej zwykle w pustostanach grupy, a za drobne przysługi wyświadczane sąsiadom nastolatki otrzymywały trochę jedzenia czy drewna na opał (właściciel wstawił im na poddasze dwa stare piece).

Kiedy wieczorem chłopak wszedł na strych, wszyscy zdążyli już wrócić z miasta. Siedzieli przy kilku świecach ustawionych na środku pomieszczenia i jedli kolację — chleb z kiełbasą.

— Warik — zwrócił się do jedenastoletniego podopiecznego — utykałeś dzisiaj na lewą nogę. Czyżbyś o czymś zapomniał?

— Dzisiaj naprawdę bolała mnie lewa — z pełnymi ustami wytłumaczył wywołany. — Ale już mi przeszło. Od jutra znów będę chromy na prawą.

— Tamirczycy nie są takimi idiotami, na jakich wyglądają. Podobne zaniedbania mogą nas kosztować pieniądze. Jeśli naprawdę boli cię noga, usiądź i zebrz jak Turi i Safin. — Stał nad podopiecznymi. — A właśnie, chłopaki, jesteście biednymi, głodującymi sierotami. Nie możecie na stanowisku pracy wsuwać jabłek. Jeśli musicie coś zjeść, schowajcie się w jakiejś alejce, a potem wróćcie.

— Wiem — odparł trzynastoletni Safin, wymachując pętem kielbasy — ale te jabłka dał nam jeden rolnik. Ciężko byłoby grać głodne dzieci, gdybyśmy nie zjedli ich od razu na jego oczach.

Jego rok młodszy brat Turi energicznie pokiwał głową.

— W takim razie w porządku. Dobrze to rozegraliście, chociaż ja żadnego rolnika tam nie widziałem.

Aron wzrokiem odnalazł swego zastępcę — siedemnastoletniego Larnaka — i gestem nakazał mu podążyć za sobą. Przeszedł do odgradzonej szmatami zawieszonymi na sznurkach części poddasza, którą w myślach szumnie nazywał swoim biurem. Larnak dołączył do niego po chwili, niosąc w prawej ręce zapaloną świecę, a w lewej pajdę chleba i (pod pachą) kielbasę.

— Dzięki — powiedział herszt, przyjmując posiłek i siadając na materacu z końskiego włosia. Larnak osadził świecę na stojącym na podłodze, pełnym zeschniętego wosku, zaśniedziałym kaganku. — Musimy pogadać. — Odgryzł kawałek kielbasy.

— Jakies problemy z Nim? — Zastępca przysiadł na podłodze, opierając się o jedyny w „biurze” mebel — drewnianą skrzynię z ciuchami Arona.

— Podobno Hanik trzeci dzień gra w króla na placu Camilusa — rzekł poważnie szef.

— Nic mi nie mówił — zdziwił się Larnak. — Hanik! — zakrzyknął.

Po chwili twarz siedmiolatka ukazała się między szmatami „w drzwiach”.

— Siadaj. Chcesz mi coś powiedzieć? — spytał poirytowanym tonem Larnak.

Dzieciak wbił wzrok w podłogę, ale posłusznie usiadł.

— No, słucham — ponaglił zastępca Arona.

— Teraz to szkoda języka strzepić, skoro już wiecie — odparł Hanik.

— Trzy dni — strofował brata Larnak. — Wiesz, ile miałeś szczęścia, że cię nie pocięli już pierwszego? Co ty sobie myślałeś? No, odpowiadaj — podniósł głos.

— Chciałem pomóc, też coś zarobić. Chociaż żeby na ciepły posiłek starczyło — odrzekł cicho Hanik.

Larnak przesunął palcami po zamkniętych powiekach. Po chwili otoczył brata ramieniem.

— Posłuchaj. Doceniam, że starasz się pomagać, ale nie możesz podejmować takich kroków na własną rękę, rozumiesz? To się mogło odbić na nas wszystkich. Na pewno się odbiło. Aron, tylko szczerze, kazali nam zapłacić jakąś karę?

— Drobnostka. — Przywódca machnął ręką.

— Ile?

— Najważniejsze, że Hanikowi nic się nie stało. Drugi raz...

— Ile? — nie ustępował Larnak.

Gdy kompan był podminowany, lepiej było go nie denerwować. Dziwne rzeczy działy się wtedy w jego pobliżu.

— Dziesięć koron — odparł i zaraz skupił się na pajdzie chleba.

— Odpracujesz to — nakazał już spokojniej Larnak. — Będziesz nosił ludziom wodę, drewno... Nie wiem, ile ci to zajmie, ale oddasz te pieniądze.

Aron już miał się wtrącić, gdy niespodziewanie Hanik stwierdził:

— Mogę je oddać już teraz. — Sięgnął za koszulę. Wyjął zawieszony na rzemieniu mieszek, odliczył dziesięć koron i wręczył je bratu.

— Skąd masz te pieniądze? — zapytał surowo zastępcę Arona.

— Zarobiłem, grając w króla. Wymyśliłem nową wersję...

— Dobra, zmykaj, później pogadamy — nieoczekiwanie uciął dyskusję Larnak.

Chłopak wstał, ale przed wyjściem z „biura” odwrócił się i z uśmiechem zapewnił:

— Ale jutro zapraszam wszystkich do *Wesołego barana* na pieczeń.

Gdy zniknął za szmatami, Aron uważnie przejrzał się zastępcy. Doskonale wiedział, dlaczego Larnak tak nagle zakończył rozmowę.

— Więc on też, tak? — Ponieważ siedemnastolatek ociągał się z odpowiedzią, zapewnił: — Wiesz, że możesz mi ufać.

Chłopak skinął głową. Aron rozumiał, że braterskie więzy sięgały głębiej niż lojalność do bandy, więc nie kontynuował wątku.

— Podobno na mieście pojawiły się jakieś artefakty z kolekcji Vladira — zmienił temat.

Larnak uśmiechnął się pod nosem.

— Niejaka Warenia miała jakoby zakupić ostatnio grzebień Cezara.

— Myślałem, że Cezar był łysy.

Aron uśmiechnął się mimowolnie.

— Jego przedstawiciel nie docenił tego żartu.

Larnak spoważniał.

— Więc co robimy?

— Działamy według planu. Tylko następnym razem sprawdź, czy Warenia nie płaci czasem ślizganymi monetami.